

# KWIAT NĘDZY

11

(Ciąg dalszy).

POWIEŚĆ.

O świcie powstał z posłania i boso, wsunął się po cichu do pokoju, w którym Zosia z Sabinką sypiały w jednym łóžeczku. Delikatnie dotyka ustami czoła dziewczątek. Potem wraca, ubiera się pospiesznie i ucieka.

Dokąd się uda?

Wszystko mu jedno — gdzie go oczy poniosą.

Warszawa śpi jeszcze. Tylko rzadkich przechodniów spotyka na ulicy Chmielnej. U jej zbiegu z Nowym Światem zwraca się na prawo. Na placu Trzech Krzyży zatrzymuje się przed kościołem. Wchodzi do cichej świątyni, tonącej jeszcze w cieniach poranka. Na wielkim ołtarzu płoną jednak już świece, a ksiądz odprawia mszę świętą.

Malec ukląkł i zamknął powieki. Jakby we śnie widzi rodzinę, którą porzucił. Niebieskie oczęta Sabinki i Zosi uśmiechają się do niego życzliwie, lecz babka spogląda nań surowo. Obraz widzenia zasłania wyobraźnia innym. Spostrzega Marcina, który mu był dobrym ojcem, stojącego przed sądem. Sędziowie wygłaszają wyrok, skazujący Żarskiego na Sybir. Och, jakie to straszne! jakie bolesne! Nigdy chwili tej nie zapomni. Wszakże wyrok drugi raz w życiu uczynił go sierotą.

Ocknął się. Powstaje z klęczek, żegna się i chwiejnym krokiem wychodzi z kościoła.

Idzie... idzie przed siebie. Przed Belwederskim pałacem mija dobrze sobie znaną drogę, w dół spadającą i wiodącą do Łazienek. Zwraca znowu na prawo i po kilku minutach dociera do Mokotowskich rogatek. Przeciska się między chłopskimi wozami, na targ spieszącymi... i rusza dalej.

Na szosie droga kopna, mało przetarta. Idzie udeptaną ścieżką, nad rowem.

W Mokotowie, zbiega do parku, w którym był w lecie, z Marcinem i siostrzyczkami a w którym się tak dobrze bawił. Lecz dziś trawa nad stawem nie zieleni się, jak niegdyś; zasypał ją śnieg grubą płachtą białą. Olbrzymie drzewa rozpościerają nad jego głową rozłożyste konary, pokryte szronem, iskrzącym się dyamentowymi blaskami w promieniach zimowego słońca. Stanął, patrząc na przeobrażenie się przyrody zdumionem okiem.

Nagle, pod pałacem, ktoś huknął donośnym głosem:

— Hej tam! a po co?!

Chłopiec się przeląkł. Myśli, że to na niego wołają. Strwożony, spieszy na przełaj pod górę, przedziera się między ciernistymi krzewami, w śnieg po pas zapada... lecz wydostaje się nareszcie z dołów, wykopanych w jesieni na nowe drzewka zasadzić się mające na wiosnę i wybiega na gościniec przez boczne, folwarczne wrota. Ogląda się za siebie, czy go kto nie goni. Dzięki Bogu — nie. Mijając cegielnię słyszy, jak bije dwunasta.

Czuje się zmęczony, lecz idzie dalej... ale coraz wolniej, coraz wolniej.

O parę wiorst za Mokotowem siada na kupie kamieni i odpoczywa. Nie czuje zimna, bo niezwykle dlań ruch rozgrzał go i spocił — lecz głód zaczyna mu dokuczać.

W tem wiatr się zrywa, niebo chmurzy się i śnieg pruszy... coraz gęściej, coraz gęściej.

Trzeba wstać i iść dalej, bo chłód na wskrós go przenika.

Rusza naprzód. Znowu przed siebie.

Idzie i idzie, a w głowie mu się kręci. Wiatr wyje i zasypuje oczy mokrymi płatkami śniegu. Nie widzi już ścieżki nad rowem, po której szedł dotąd. Wtem... noga mu się pośliznęła, zachwiał się i spada w rów — w zasęp, jak puch miękka. Leży czas jakiś nieruchomy, znużony, bezwładny. Bólu nie czuje żadnego, a powieki mu się kleją... Spać chce — zasnąć na dobre.

Nagle, przypomina sobie opowiadanie Marcina o ludziach, którzy na śmierć zmarzli, usypiając wśród śniegu. Chce się podnieść — nie może. Nogi nie znajdują twardego oparcia, na którym mo-

głyby się utrzymać — więc z trudem i męką czołga się na rękach i kolanach i wyłazi na drugą stronę rowu. Tu już czuje grunt pod stopami, powstaje, prostuje się, otrząsa śnieg z odzieży.

Tymczasem noc zapadła... czarna, groźna, straszna noc zimowa.

Słyszysz jakiś szum i trzeszczenie nad głową. To drzewa przydrożnego lasku tak się kołyszą, szarpane wichurą. Nie wie, w którą udać się stronę. Wylazłszy z rowu stracił zupełnie pojęcie o kierunku. Więc wsuwa się pod krzak jałowcu, grubo przykryty śniegiem, siada na ziemi... i płacze. Głosne jego łkanie rozlega się w pośród drzew i dolatuje uszu innego chłopaka, który także widocznie nie śmie iść dalej, bo przytulił się całym ciałem do niskiej sosenki, szeroko rozpościerającej w około ubielone gałęzie. Czeką na ustanie zawiei.

Płacz go wzrusza, więc przystępuje do Janka.

— Co ci to? Sam jesteś?... Mężczyzna, a mazesz się, jak cztery dziewczki. Zabłądziłeś, co?

Nie słysząc odpowiedzi, plecie dalej z werwą warszawskiego ulicznika.

— Czy i ty może, jak ja, sprzedajesz figurki gipsowe, które Włoch, Bombalini, wyrabia w fabryce na Elektoralnej?... Oho! miałem dziś dobry dzień. Na desce, która tam leży — wskazał palcem pod choinę — ani jednego Napoleona, ani Sobieskiego, ani księcia Józefa... ani Panięki Najświętszej... a w kieszeni — uderzył się po biodrze — cały srebrny rubel i fura miedziaków. W mieście mi jakoś nie szło z rana. Aż przypominam sobie, że jedna dobra pani, co przyjeżdża nieraz do kościoła na Woli, a mieszkająca tu nie daleko... ot tam za borem... powiedziała mi kiedyś, żeby, jak będzie pogoda, zaszedł do niej z figurkami, więc nie wiele myślący... słońce, niby w lipcu świeciło dziś w południe... macham w drogę. I dobrzem zrobił. Sprzedałem cały kram i dostałem gorący podwieczorek: kawę ze śmietanką, z grubym na palec kożuchem... a do torby bułkę chlebia, pytlowego i kawałek sera. Cieszę się, że ciebie spotkałem, bo ci pomogę wyjść z opresji i pozbyć się melancholii, w którą widzę popadłeś mazgaju.

— Jakże ty mi dopomożesz?

— Przedewszystkiem nakarmię... a potem na drogę, pod miasto wyprowadzę, bo ja tu znam każdy rowek, każdą bruzdę, każdy kamyczek!

Janek zasepił się i znowu zamilkł.

— Nie bój się mnie! wszyscy wiedzą, że m honorowy i poczciwy. Zowie się Pietrek, ale przeważnie mnie po włosku Marco Spada, bo to w handlu jakoś ładniej brzmi. Mam lat czternaście. Przynajmniej tak mówią. Kaduk by tam dochodził, kiedy się człek urodził... Od kiedy zapamiętam, mieszkałem zawsze za Wolskimi rogatkami, niby na Czystem, przy ojcu, którego zowią Czupiradło i przy matce, wabiącej się Złota Rączka. Mądra baba! wszystkimi ozorami, jakie są tylko w świecie, gada!... Mam także siostrzyczkę, Rózię, którą gwoli interesu handlowego, przeważnie z włoską, Graziellą. Śliczności dziewczyna, a dobra, jak aniołek. Lata ze mną po całej Warszawie, a gdy się zmęczę, to ona woła: „Belle... belle figurine!“ bo tak nas Bombelini nauczył, że to łatwiej sprzedać, jak się po italsku krzyczy. A ona... to jest moja siostra, rozumiesz... cudnie umie namawiać do kupna. Wychwała i przychlebia się, że ha! Aż słuchać miło! To też oboje, nie ledwie codzień zarabiamy na życie...

— Jestem sam jeden na świecie — rzekł nieco ośmielony Janek — a chciałbym także zarabiać.

— No, no! patrzcie. Sam jeden jesteś na tym padole płaczu, jak mówi Złota Rączka.

— Tak.

— Sierota?

— Tak.

— A dziś zdychasz z głodu, robaku. Widzę to: blade jesteś, kieby upiór... A i spać ci się chce, co? Pewno nie wiesz, kędy masz pójść się prze-spać?

— Tak.

— No, naprzód trza się pożywić. — Wydobyl z torby chleb i ser. — Kasaj, i niech ci to pójdzie na zdrowie! Zjedz wszystko, ja nie głodny. Obuchałem się kawą i słodkimi rogalkami u dobrej pani. — Widząc, że chłopiec nie zabiera się do jedzenia, dodał. — Nie wstyduj się, tylko połknij raz, dwa i basta. Ze mną musisz być, jak z bratem.

Janek jednak zmęczony, zziębnięty i nie zdający sobie jeszcze sprawy z położenia, zamilkł znowu i głowę pochylił na piersi. Pietrek podniósł ją ręką w górę.

— Hej! hej! niedołęgo, mówię ci: smutkowi nie masz się poddawać. Porzucili cię? wypędzili?... domyślam się tego. Nie wiesz, w którą stronę się obrócić? Ha, wielka rzecz! Ja cię zapraszam do siebie na mieszkanie. Pójdiesz ze mną, zaprezentuję cię rodzicielowi i rodzicielce galant... jeśli ich zastaniemy w domu, bo oni po nocach włóczyć się lubią. Prześpisz się przy mnie, a jutro rano namyślisz się co robić dalej. Może matczy-sko ulituje się nad tobą i weźmie cię do roboty. Złota Rączka lepsza od Czupiradła. Teraz papaj... bo wiatr ustał, łysy wyjrzał z za chmur — wskazał na księżyc, który istotnie wytoczył się z poza białych obłoków — trzeba będzie dymać co sił do domu, bo to kawał drogi!

Chłopiec, jakby tym razem przekonany, zjadł kawał chleba z serem.

— Nie możesz więcej? — spytał Piotruś.

— Nie mogę.

— Ja to znam, gdy człowiek mocno się prze-głodzi, to najsmaczniejszy kasek kością w gardle się być zdaje, a żołądek przyjąć nie chce... Ale komu w drogę, temu czas. Ruszajmy!

Poskoczył pod sosenkę, leżącą tam deskę z kółkami do utrzymywania figur gipsowych ustawił zrecznie na głowie, podał rękę towarzyszowi i krzyknął:

— Marsz!

Prowadził go doskonale, jakby w biały dzień! Czasem tylko potknęli się gdzieś na jakimś wyboju, pod śniegiem ukrytym, albo zaczęli poły odzieży o kół od płota, przez który trzeba było przełazić, bo omijali gościniec, żeby drogę skrócić. Janek ogrzewał się przyspieszonym krokiem, aż twarz zaczerwieniła mu się od krasnych rumieńców. Gdy nareszcie przeszli rogatkę mokotowską pod spuszczone szlabanem i znaleźli się na Marszałkowskiej, oświetlonej dwoma długimi rzędami latarni gazowych, Pietrek podskoczył w górę i zawołał na głos:

— Belle... belle figurine!

Poczem zachichotał wesoło.

— Widzisz, tu już jesteśmy bezpieczni: tu już nas żaden andrus nie obędzie, ani skantuje, bo byśmy mu się przy jasności nie dali, a zanimby majchra dobył, już podstawilibym mu nogę i położył jak cielaka na śniegu. Dlatego krzyknąłem z całej piersi, chociaż nie mam figurek na sprzedaż. W dzień, z takim wołaniem wchodzę na podwórka. Ludzie wiedzą, co słowa włoskie oznaczać mają. Jeśli kto ma ochotę na jakiego świętego albo na Napoljona, to czasem wyjdzie, a czasem przez łucik wyjrzy i każe przyjść do kuchni lub do sieni. Dziś sprzedałem wszystko... wszystko! Dwór dobrej pani rozkuł co tylko miałem, do ostatniej sztuki. Niosę więc do budy półczwartą rubla.

— Rodzice twoi się ucieszą?

— Ma się rozumieć! To przecie kupa grosza.